

Piątek, 5 sierpnia 2016

Głos Dwubrzeża



OFICJALNY MAGAZYN 10. FESTIWALU FILMU I SZTUKI DWA BRZEGI
KAZIMIERZ DOLNY, JANOWIEC NAD WISŁĄ



Adres redakcji: Miasteczko Festiwalowe, ul. Nadwiślańska 9, 24-120 Kazimierz Dolny; e-mail: redakcja@dwabrzezi.pl;
 Pierwszy brzeg: Paulina Litwinow; Drugi brzeg: Błażej Hrapkowicz; Łączenie brzegów: Radosław Bućko;
 Fotografowanie brzegów: Joanna Kurdziel-Mortko, Krzysztof Wójcik
 Skład nurtu: Joanna Kiedrowska, Łukasz Kolender, Patrycja Mucha, Filip Skowronek, Katarzyna Skulimowska, Monika Żelazko

Buty i nieskończoność

O oszczędności słów, przekraczaniu granic w sztuce oraz projekcie filmu o Keithie Richardsie z Bogdanem Dziworskim rozmawia Łukasz Kolender.

Łukasz Kolender: Obejrzał Pan dzisiaj wspólnie z publicznością *Kilka opowieści o człowieku*. Zdarza się Panu wracać do własnych filmów sprzed lat?

Bogdan Dziworski: Tylko przy takich okazjach jak dzisiaj. Obejrzałem ten film po długiej przerwie i wydaje mi się, że raczej się nie zestarzał, co potwierdzają rozmowy z publicznością. Oglądam swoje filmy, kiedy muszę, na przykład przy korekcie cyfrowej. Ale poza takimi przypadkami uznaję, że film jest zrobiony, koniec kropka.

Czy zestaw filmów wybranych w antologii wydanej przez Narodowy Instytut Audiowizualny jest reprezentatywny dla Pana twórczości?

Wielu filmów brakuje, choćby filmu o Beksińskich, który robiłem we Francji czy *Wdech-wydech*, zrealizowanego wspólnie ze Zbyszkiem Rybczyńskim. Jeśli to wydanie się dobrze sprzeda, może powstanie jakiś aneks, w którym pojawią się pozostałe filmy.

Mottem tego wydania jest cytat: „Patrz w nieskończoność i jednocześnie na swoje buty”.

Rzeczywiście, powiedziałem tak kiedyś i chyba coś w tym jest. Patrzeniem ogarniamy więcej niż powinniśmy, jednocześnie buty i nieskończoność.

Czy chodzi również o to, że często opowiada Pan w swoich filmach o uniwersalnych problemach poprzez skupienie się na szczegółach, konkretnych postaciach lub rzeczach?

Ciekawie zgłębił Pan tę myśl. Zwykle, kiedy robię film, chcę dać widzom do myślenia. Każdy będzie miał swoją interpretację. To właśnie jest fascynujące.

W wielu filmach rezygnuje Pan z użycia słów, opowiada Pan przede wszystkim obrazem, a także dźwiękiem.

To kwestia autorskiej decyzji, którą trzeba podjąć przy każdym filmie. Na przykład *Kilka opowieści o człowieku* mógłbym oprzeć na opowieściach mojego bohatera, które były genialne. Ale świadomie to wyciąłem, dzięki czemu film zyskuje na klarowności. Natomiast kiedy potrzebuję użyć słów, po prostu ich używam. Nie zachęcam też nikogo do rezygnowania z nich na siłę, to nie jest uniwersalna recepta.

Tradycyjny etos dokumentalisty, w polskim kinie reprezentowany przede wszystkim przez tak zwaną Szkołę Karabasza, kazał odrzucać stosowanie inscenizacji. Z kolei Pan łączy kino dokumentalne z eksperymentalnym. Pana zdaniem dokumentalista powinien sobie wytyczać jakieś granice?

Granice trzeba omijać, przekraczać. W sztuce nie ma reguł. Trzeba puścić wodze wyobraźni. Granice są pewną formą cenzury, sprawiają, że twórca czuje się do czegoś zobligowany.

Po 1990 roku milczał Pan jako reżyser przez niemal ćwierć wieku. Transformacja ustrojowa zaszkodziła polskiemu filmowi eksperymentalnemu?

Rzeczywiście, do lat 90. mogłem robić film za filmem, takie były czasy. Moje filmy zazwyczaj nie zahaczały o politykę, nie miałem więc problemów z cenzurą. Jednym z niewielu wyjątków był *Hokej*, w którym w scenie rzucenia rękawicą przez zawodnika radzieckiego w innego hokeistę dodałem dźwięk wystrzału z pistoletu. Ale wyciszyłem ten dźwięk i jakoś to przeszło. A później zaczęły się kłopoty z pozyskiwaniem funduszy, teraz trzeba się o nie starać kilka lat. Na szczęście mam też drugi zawód, pracowałem więc jako operator dla innych reżyserów, kręciłem między innymi dokumenty Pawła Pawlikowskiego.

Wielokrotnie robił Pan filmy o sporcie. Skąd fascynacja tą dziedziną?

Po prostu lubię sport, filmy należy kręcić na tematy, które się czuje. Do dziś staram się zachować kondycję fizyczną. Interesuję się *nordic walkingiem*, planuję nawet wydać na ten temat książkę.

Film, który właśnie Pan realizuje, będzie opowiadał o Andy Warholu. Dlaczego właśnie jego postanowił Pan uczynić bohaterem?

Mamy wspólne łemkowskie korzenie, wywodzimy się z tego samego kręgu kulturowego i tej samej grupy etnicznej. Nie fascynowałem się nigdy jego twórczością, tylko tym, że jesteśmy ziomkami, a nawet bardzo dalekimi kuzynami. On miał swoją Fabrykę, a ja zbuduję swoją, w moim stylu.

Jeszcze większym zaskoczeniem jest dla mnie projekt kolejnego filmu, w którym chce Pan opowiedzieć o Keithie Richardsie, legendarnym gitarzyscie The Rolling Stones.

Pomysł jest taki: przyjeżdża nieopierzony muzyk z Polski do mistrza i tworzą razem wielki przebój.

Jest szansa, że w filmie wystąpi sam Richards?

Tak, w kontakcie z Richardsem pomaga mi Zbyszek Rybczyński. On jest znany w tamtejszym środowisku, zrealizował słynny teledysk do *Imagine* Johna Lennona, współpracował też z Mickiem Jaggerem. Nie mam jednak zamiaru wykorzystywać znajomości, tylko przedstawić dobry projekt. Nie chodzi mi też o poszerzenie publiczności dzięki wykorzystaniu gwiazdy, chcę po prostu zrobić dobry film.





Spółeczny eksperyment

Czy alternatywny styl życia może stać się uniwersalny? Najnowszy film Thomasa Vinterberga, *Komuna*, obnaża pułapki, jakie niesie ze sobą zderzenie ideałów z brutalną rzeczywistością.

Życie w komunie to jeden eksperymentów społecznych ruchu Zhipisowskiego, który stał się bezpośrednim doświadczeniem życiowym wielu ludzi. Jednym z nich był reżyser *Komuny*, Thomas Vinterberg, który mieszkał w tego rodzaju wspólnocie jako dziecko wraz z rodzicami. Ten okres na pewno stanowił inspirację przy tworzeniu filmu, którego akcja osadzona jest w Kopenhadze w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku. Film wyróżnia się wielką dbałością o szczegóły, które oddają niepowtarzalny klimat tamtej epoki – uwagę zwraca zwłaszcza wystrój wnętrz czy modne wówczas stroje i fryzury.

Duński reżyser, który międzynarodową sławę zdobył dzięki pierwszemu z filmów *Dogmy* – *Festen* (1998), w swoim najnowszym dziele ponownie porusza temat problemów rodzinnych. Główni bohaterowie *Komuny* to prezenterka telewizyjna Anna oraz profesor architektury Erik, którzy wskutek otrzymania spadku stają się właścicielami przestronnego domu. Mimo początkowego sprzeciwu męża Anna postanawia zamieszkać w nim nie tylko z małżonkiem i córką, ale również całą grupą znajomych.

Początkowo wszystko świetnie się układa, a życie w tytułowej komunie przypomina sielankę, pięknie ukazaną w pełnej radości scenie wspólnej nagiej kąpieli całej grupy w morzu. Widzowie spodziewający się stereotypowo kojarzonych z komunami orgii pod wpływem LSD mogą być jednak zawiedzeni. Życie w przedstawionej w filmie Vinterberga wspólnocie jest zupełnie zwyczajne i pozbawione sensacji oraz ekstremalnych ekscesów. Możemy za to podglądać codzienne życie mieszkańców komuny (wspólne posiłki czy wieczory przy piwie), które wcale nie różni się tak bardzo od tego prowadzonego w bardziej konwencjonalnych domostwach.

Problemy zaczynają się, gdy Erik zakochuje się niespodziewanie w swojej studentce o imieniu Emma. Kiedy zwierza się z tego uczu-

cia żonie, Anna chce wykazać się otwartością i proponuje kochance męża, żeby dołączyła do komuny. W istocie kobietą targają silne emocje, takie jak zazdrość i niskie poczucie własnej wartości, które sprawiają, że wcale nie akceptuje Emmy i wspólne życie pod jednym dachem zaczyna przypominać koszmar.

Anna nie ma jednak odwagi przyznać sama przed sobą, że nie jest tak postępową, jak by chciała i brnie dalej w sytuację, która ją unieszczęśliwia. Być może Anna godzi się na niekomfortowe rozwiązanie, bo desperacko próbuje zatrzymać przy sobie męża. Jedyną osobą, która ma śmiałość zasugerować, że sytuacja wymknęła się spod kontroli, jest córka pary, Freja.

Przedstawiona w filmie historia mogła wydarzyć się niemal wszędzie, dlatego warto zastanowić się, dlaczego reżyser zdecydował się umieścić akcję filmu właśnie w takim miejscu. Przyczyną może być chęć obnażenia hipokryzji ludzi, głoszących wzniosłe ideały wolnej miłości i tolerancji, które jednak schodzą na dalszy plan, kiedy do głosu dochodzi mało szlachetne uczucie zazdrości o męża i urodę młodszej kobiety.

Fakt, że próbę życia w ukazanej w filmie komunie trudno nazwać całkowicie udaną, nie oznacza bynajmniej, że sama idea jest z góry skazana na porażkę. Prawdziwą przyczyną kryzysu jest to, że Anna postępuje wbrew sobie i nie daje dojść do głosu tłumionym emocjom. Przybiera zamiast tego sztuczną pozę, która nie jest odzwierciedleniem tego, co naprawdę myśli, lecz tego, jak chciałaby być postrzegana przez swoje środowisko. Może gdyby od początku była szczerą nie tylko ze swoim mężem, ale przede wszystkim samą sobą, komuna miałaby szansę na przetrwanie. Oznacza to również, że najważniejsza jest świadomość własnych uczuć i emocji, które nie może przesłonić nawet najpiękniejsza idea.

Katarzyna Skulimowska

Pokaz *Komuny* o 18:30 w Kinie Lubelskim.

Dziś zagrają:

17:00	Ewa Kabsa MIĘĆMIERZ, GALERIA KLIMATY
19:00	Kanał Sztuki VII, Dziady Kazimierskie MAŁY RYNEK
20:30	Vołosi i Młoda Polska Filharmonia; dyr. A. Klocek DUŻY RYNEK
21:30	Pierwsza Poznańska Niesymfoniczna Orkiestra Ukulele KLUB PERŁA

Testosteron w natarciu

Okres dorastania to jeden z najbardziej wdzięcznych tematów filmowych. Stąd popularność dzieł spod znaku coming of age, czyli „wchodzenia w dorosłość”. Do ich głównych tematów można zaliczyć m.in. rodzicą się seksualność czy odpowiedzialność za własne czyny.

Zazwyczaj wszystkie te kwestie pokazane są delikatnie, a pożegnanie dziecięcej niewinności ma wymiar niezwykle sentymentalny – wszak filmy realizują przecież dorośli, którzy subtelnie pielęgnują wykreowany przez kulturę wizerunek dziecka. Kuba Czekaj, reżyser *Baby bump*, wybrał jednak zupełnie inną drogę – jego pełnometrażowy debiut pełen jest wrzasków, przekleństw i płynów ustrojowych.

Mickey House (Kacper Olszewski) mieszka z opiekuńczą mamą (Agnieszka Podsiadlik) i chodzi do szkoły jak każdy jego rówieśnik. Przeżywa jednak katusze, bo do głosu zaczynają dochodzić hormony. Wyjście z dziecięcej rzeczywistości w kolorze plastikowego różu ku prawdziwym problemom dorosłego świata, takim jak nielegalny handel moczem, jest dla chłopca niezwykle intensywnym przeżyciem. Nie pomagają mu w tym ani jego rodzicielka, każdego dnia karmiąca Mickeya jajkami i bananami (które urastają w filmie do rangi symbolu), ani szkolni znajomi, równie mocno przeżywający okres adolescencji. Tym bardziej nie pomaga głos w jego głowie, wciąż przekazujący silne bodźce w sposób tak nachalny, że chłopak nie może się od niego uwolnić.

Problematyczne relacje chłopca z matką przedstawione zostały z iście freudowskim polotem. Mickey zaczyna bowiem ją postrzegać jako obiekt seksualny – widzi jej biust i falujące w rytmie maszyny do ćwiczeń pośladki, dostrzegając nagle, że jest ona atrakcyjną kobietą. Samotną i wolną w dodatku, ma więc kilku adoratorów, którym chłopiec przypisuje stereotypowo samcze, zwierzęce cechy i nie pozwala im się zbliżyć do matki – mimo że odczuwa do niej wstręt, który budzi w nim lęk i niepokój. Jej z kolei brakuje odwagi w wychowaniu syna, któremu nie pozostawia wyboru, jakim mężczyzną chce być. Chroni go pancernem opiekuńczości i nie pozwala na transformację Mickeya z chłopca w nastolatka.

Wizualna strona filmu jest nie mniej wyrazista od jego treści. Kuba Czekaj nie daje nam chwili odpoczynku i bombarduje nas wszystkim, czego wolelibyśmy nie widzieć: zbliżeniami wielkich pryszczów i niekontrolowanych erekcji, wątpliwymi wzorami męskości i kobiecości oraz ujęciami kopulujących szczurów. To wszystko pokazane jest bez wstydu i zbędnych metafor, a jednocześnie za-

skakuje świeżością i dynamicznością. Kolory krzyczą z ekranu tak samo głośno jak szkolna młodzież na korytarzach.

W obliczu tej skrajnej stylizacji autentyczność *Baby bump* może wydawać się projektem nie do zrealizowania, a jednak Czekaj osiąga na tym gruncie stuprocentowe zwycięstwo. Bezkompromisowo i hałaśliwie, jak na debiutanta przystało, rozprawia się z wyidealizowanym portretem zawstydzonego „młodego dorosłego”, który wstydliwie skrywa rozbuchany testosteron. Ilość przekleństw, zmysłowe postrzeganie każdego gestu, brak kontroli nad ciałem, które reaguje na rzeczywistość wbrew woli Mickeya – to wszystko składa się na realizm tej postaci. Przejaskrawiony świat przedstawiony jest uniwersum dojrzewającego chłopca, a estetyka odpowiada jego wyobrażeniom – jest równie gwałtowna i krzykliwa.

Ta intensywność przekazu bywa dla widza problematyczna, niewygodna i niesmaczna, ale nie pozostawia go obojętnym. Wiele z ujęć jest zrealizowanych z punktu widzenia chłopca i to właśnie dlatego brzydymy się jego (a może raczej swoimi?) myślami. *Baby bump* budzi skrajne reakcje wśród widowni z uwagi na swój nieprzezroczysty styl, określany często jako „obleśny” czy „obrzydliwy”, ale nigdy nijaki. Wydaje się jednak, że Czekaj odwołuje się do wyjątkowo wstydliwych wspomnień każdego dorosłego, który okres dojrzewania wolałby puścić w niepamięć. Na tym poziomie udało mu się nie lada sztuka – zrealizowanie filmu w pełni autorskiego (należy pamiętać, że to dopiero pełnometrażowy debiut!), a jednocześnie przywołującego z odmetów psychiki szereg wypartych emocji.

Patrycja Mucha



Pokaz *Baby bump* o 12:00 w Kinie Lubelskim.

Black	13:45	BABY BUMP – goście K. Czekaj, A. Podsiadlik, S. Łach
Red	14:45	BRACIA – goście W. Staroń, M. Staroń, A. Kułakowski
White	17:00	SEJSMOGRAF DUSZY. Kino według Marii Kornatowskiej – spotkanie T. Szczepański, G. Torbicka
Cafe	18:00	JASNE BŁĘKITNE OKNA – goście B. Kawka, J. Brodzik
	19:30	WALKA Z SZATANEM – gość K. Szolajski, ks S. Radoń

Buddyzm odczarowany

O rytuałach przejścia, różnicach między światem zachodnim i wschodnim oraz definicji filmu dokumentalnego z Rafałem Skalskim, reżyserem *Mnicha z morza*, rozmawia Joanna Kiedrowska.

Joanna Kiedrowska: Pokazuje Pan w filmie rytuał przejścia, który w swoim charakterze ma wymiar uniwersalny. Dlaczego zdecydował się Pan opowiedzieć akurat historię tajlandzkiego chłopca i mnichów buddyjskich?

Rafał Skalski: Rytuał inicjacji w dorosłość zawsze był dla mnie bliskim tematem, poruszyłem go również w moim pierwszym filmie. O tej charakterystycznej formie inicjacji, którą widzimy w *Mnihu z morza*, przeczytałem po raz pierwszy już siedem lat temu, kiedy *Przekrój* opublikował artykuł o krótkoterminowych mnichach. Zastanowiło mnie, na ile jest to wewnętrzna podróż, prawdziwe duchowe przejście. Chciałem sportretować rytuał właśnie w tym kontekście - jeśli nie mamy na co dzień kontaktu z duchowością, czy można w tak krótkim czasie coś zmienić i dotrzeć do tej wewnętrznej prawdy?

Plakat filmowy przywołuje skojarzenia z wewnętrznym rozdarcie, ale przy uważnym oglądzie można dostrzec drugą osobę, patrzącą jakby z boku.

Plakat jest autorstwa Patryka Mogilnickiego, bardzo zdolnego ilustratora. Film, podobnie jak plakat, pokazuje takie rozwarstwienie. Każdy z nas ma wiele oblicz i tak samo Ball, główny bohater, podczas pobytu w klasztorze walczy ze sobą, aby skupić się na modlitwie, a nie aktywności online i nie do końca mu się to udaje. To są właśnie dwie twarze Balla. Na plakacie można też jednak odnaleźć koncept dwóch mnichów - Ball w klasztorze spotyka opata, postać o wiele bardziej charyzmatyczną, który też ma swoją ideę fixe.

O *Mnihu z morza* pisze się, że jest prowadzony bardzo statycznie. Czy to jakaś próba wprowadzenia widza w stan medytacji?

W klasztorze czas upływał wolniej niż w Bangkoku, aczkolwiek już w trakcie realizacji okazało się, że zdjęcia w mieście kręciliśmy bardzo podobnie. Pierwsza sekwencja przedstawiająca imprezowe życie jest kręcona całkowicie „z ręki”. Później jednak, ze względu na powtarzalny rytm życia bohatera - impreza, praca, oglądanie z mamą telewizji, potem znowu impreza, praca i tak dalej - zdecydowaliśmy się na subtelną, spokojną obserwację. Koniec końców obie części filmu są zrobione podobnie, co pokazuje, że życie składa się z rutyny i powtarzalności, tylko czasem innego rodzaju. Osobiście wolę też dokumenty kręcone spokojnie. Nie przepadam za filmami nadużywającymi kamery „z ręki”, bo w życiu codziennym dosyć spokojnie patrzymy na rzeczywistość i rzadko „trzęsie” nam się spojrzenie.

W zachodnim świecie istnieje pewna moda na filozofię buddyjską. Jak bardzo na Wschodzie różni się podejście do medytacji i kontemplacji proponowanej przez Buddyistów?

To zupełnie inny świat. Co ciekawe, Zachód od kilkudziesięciu lat odkrywa buddyzm i rzeczywiście jest on modny, a w moim filmie ten mistyczny buddyzm jest troszeczkę odczarowany. Przypomina polski katolicyzm, bo jest oparty na rytuałach i obrzędowości. Podczas święcenia na mnicha ludzie przenoszą naszego bohatera kilka razy wokół świątyni Wat Khun Samut, co przywodzi na myśl naszą pierwszą komunię czy wesele. Mimo że w klasztorze jest chwilami



mistycznie, opat jest raczej kierownikiem budowy nadzorującym prace nad wielkim pomnikiem Buddy niż spokojnym, medytującym mnichem.

Świątynia Wat Khun Samut, znajdująca się niegdyś w centrum wioski, dziś w wyniku zmian klimatycznych jest w zasadzie otoczona wodą. Symbolicznie rzecz ujmując, można powiedzieć, że dla duchowości, zalewanej współczesnym życiem, jest coraz mniej miejsca.

Na początku prac nad filmem wyjechalismy do Tajlandii w 2011 roku, gdzie odkryliśmy właśnie ten klasztor. Stwierdziłem, że jeżeli znajdę bohatera, który będzie chciał się święcić na mnicha i którego uda mi się przekonać do spędzenia dwóch tygodni w tej świątyni, może to uruchomić bardzo ciekawy ciąg skojarzeń. Cieszę się więc, że widownia te znaczenia odnajduje.

Paweł Łoziński mówił, że dziś różnice między filmem dokumentalnym a innymi formami trochę się rozmywają. Przywiązuje Pan wagę do granic i definicji?

Wydaje mi się, że granice i definicje mają mniejsze znaczenie niż odbiór filmu. Niektóre filmy nazywa się dokumentami, mimo że właściwie tak nie jest. Trudno wyznaczyć taką granicę, ale ona istnieje, każdy ma ją gdzieś w sobie. Dla mnie tą granicą byłoby zatrudnienie osób do udawania innych ludzi i odtwarzanie w ten sposób różnych sytuacji. Co innego u Pawła Łozińskiego, tam są rzeczywiste emocje bohaterów mówiących o własnych przeżyciach i prawdziwa forma psychoterapii. Jego film jest dla mnie bardzo dokumentalny mimo zastosowanych tam zabiegów. *Mnich z morza* jest na wskroś obserwacyjnym filmem, w zasadzie jedyną ingerencją jest doprowadzenie do spotkania bohatera z opatem. Jednak w żadnej formie dokumentalnej nie da się uciec od kreacji, choćby w postaci wyboru kadrów, nie mówiąc już o etapie montażu. To prawo artysty. Jedni kreują mniej, inni bardziej. Wydaje mi się, że wszystkie moje dokumenty oddają rzeczywistość.



Wszystko płynie

Nigdy nie jest za późno, żeby zacząć od nowa. Te słowa Jane Fondy zdają się przyświecać Nathalie, bohaterce *Co przynosi przyszłość*, znakomitego dramatu Mii Hansen-Løve, nagrodzonego na tegorocznej edycji festiwalu w Berlinie Srebrnym Niedźwiedziem za reżyserię.

Mia Hansen-Løve to młoda, obiecująca francuska artystka, której każdy kolejny film, począwszy od debiutu *All is forgiven* nominowanego od razu do Cezara, stanowi interesującą propozycję dla widzów doceniających intymne, pełne podskórnych emocji opowieści o ludziach podobnych do nich. Drugi tytuł w jej dorobku, *Ojciec moich dzieci* otrzymał Nagrodę Specjalną Jury w Cannes, a następne produkcje wyświetlane były na festiwalach w Locarno i Toronto. Warto też wiedzieć, że Hansen-Løve jest żoną Oliviera Assayasa, znanego ostatnio przede wszystkim z *Sils Marii*, zdobywcy tegorocznej nagrody w Cannes dla Najlepszego Reżysera za film *Personal Shopper* z Kristen Stewart.

Francuska autorka już kręcąc *Goodbye First Love* korzystała z planie z własnych doświadczeń życiowych, wtlaczając w historię szalenie zakochanej pary nastolatków elementy własnego młodzieńczego romansu. Tym bardziej można przypuszczać, że pisząc scenariusz swojego najnowszego filmu, myślała w pewnym stopniu o swoich rodzicach, którzy z zawodu są profesorami filozofii. Bohaterką *Co przynosi przyszłość* jest bowiem Nathalie Chazeaux, nauczycielka filozofii w średnim wieku, którą kamera zastaje w granicznym punkcie życia. Właśnie odchodzi jej mąż, który zostawia ją dla innej kobiety. Dom opuszczają też dorastające dzieci, które chcą rozpocząć życie na własną rękę.

Nathalie znajduje się nagle w zupełnie nowej dla siebie sytuacji – została postawiona przez najbliższych w obliczu faktów dokonanych, w które nie może już ingerować. Zamiast jednak próbować je zmienić lub pograć w rozpacz, kobieta postanawia pójść w ślady stoików i podejść do nowych realiów z przypisywanym tym antycznym filozofom niewiarygodnym spokojem.

Widzowie obawiający się żonglerki rozmaitymi cytatami z wybitnych myślicieli mogą odetchnąć z ulgą. Mia Hansen-Løve celuje w zupełnie inny rejestr, budując nadzwyczaj ciepły i bezpretensjonalny portret dojrzałej kobiety, która z energią bierze sprawy w swoje ręce. W jej działaniach znajdziemy emocje, ale nie nerwowość, zmęczenie, ale nie wyczerpanie, bezkompromisowość i zdecydowanie, ale nie idące wcale w parze z pretensjami czy chęcią odwetu na mężu. Wyważony ton scenariusza, a co za tym postawy Nathalie, niesie ze sobą poczucie równowagi i przeświadczenie, że wszystko będzie dobrze – nawet jeżeli sprawy ułożą się niekoniecznie tak, jak byśmy tego chcieli.

Niezaprzeczalną siłą kameralnego obrazu młodej francuskiej reżyserki jest wybitna kreacja Isabelle Huppert. Aktorka zrywa z wizerunkiem, jaki stworzyła chociażby w pamiętnym filmie austriackiego mistrza kina Michaela Hanekego na podstawie powieści Elfriede Jelinek. Tytułowa *Pianistka* to nauczycielka o zgoła odmiennych poglądach i sytuacji życiowej niż Nathalie. Obie te postaci muszą jednak zmierzyć się z samotnością i obie budowane są przez Huppert podobnymi, prostymi środkami.

U Hanekego jednak mur, misternie wznoszony na fundamencie samokontroli przez bohaterkę Huppert, w pewnym momencie musi runąć z historycznym impetem. Hansen-Løve wybrała inną drogę dla swej bohaterki – pozwala jej wyznawać antyczną sentencję Heraklita, w myśl której przecież „wszystko płynie”. W życiu nie ma bowiem nic stałego, a ci, którym się tak wydaje, mogą pewnego dnia obudzić się w boleśnie odmienionej rzeczywistości. Na zakończenie, by pozostać w konwencji filozoficznych cytatów, warto przytoczyć jedną z wielu mądrości autora, który wykreował być może najbardziej rozedrganą filozoficznie jednostkę na kartach historii literatury, czyli Hamleta. Jak pisał bowiem sam William Szekspir: „Życie nie jest lepsze ani gorsze od naszych marzeń. Jest tylko zupełnie inne”.

Monika Żelazko

Pokaz *Co przynosi przyszłość* o 16:30 w Kinie Lubelskim.

**Kino pod Srebrną 11:30 Lekcja kina. Wojciech Staroń
Gwiazdą**



Wolność kontra tradycja

Konflikt surowej tradycji z wolności jednostki oraz pochwała młodości – to główne tematy *Mustanga*, wielokrotnie nagradzanego debiutu francusko-tureckiej reżyserki Deniz Gamze Ergüven.

Pięć siostr w tureckim nadmorskim miasteczku pozwala sobie na niewinny flirt z przypadkowo spotkanymi chłopakami. Zdarzenie pozornie bez znaczenia staje się zalążkiem dramatu – okoliczni mieszkańcy uznają zachowanie dziewczyn za nieobyčajne, a ich rodzina postanawia zapobiec eskalacji konfliktu. Pragnąc zaradzić ostracyzmowi, nakłada na bohaterki areszt domowy i rozpoczyna poszukiwania mężów dla dziewczyn.

Debiutująca reżyserka, Deniz Gamze Ergüven, nagradzana za *Mustanga* m.in. w Cannes i podczas gali rozdania Cezarów, toczy opowieść nie tylko o zderzeniu nowoczesności z restrykcyjnymi tradycjami. To przede wszystkim pochwała młodzieńczej niezależności i kobiecej solidarności w obliczu ograniczeń narzucanych przez religijnie motywowaną moralność. To także historia z gatunku coming of age, w której ujęty zostaje proces dojrzewania bohaterek. Element odrzucenia zastanych norm i sprzeciwu wobec autorytetu jest dla tego zjawiska kluczowy.

Idealnym tłem dla całej historii okazuje się Turcja, stojąca w rozkroku pomiędzy europejskim liberalizmem a powrotem do radykalnych reguł konserwatywnego islamu. Dzięki temu *Mustang* staje się zarazem politycznym komentarzem i uniwersalną historią o wchodzeniu w dorosłość. Doświadczeniu trudnym niezależnie od szerokości geograficznej.

Filip Skowronek

Pokaz *Mustanga* o 14:00 w Kinie Lubelskim.

Idź precz, Szatanie!

Jeszcze kilka lat temu w Polsce posługę pełniło kilkunastu egzorcystów, dziś jest ich ponad stu. Dokument *Walka z szatanem* w reżyserii Konrada Szołajskiego to opowieść o młodych dziewczynach, które wierzą, że zostały opętane przez demony.

Rodzice nastoletniej Agnieszki, gdy ta odmówiła uczęszczania na lekcje religii, posłuchali rady zakonnicy i postanowili posłać córkę do egzorcysty. Karolina poddała się tym samym obrzędom, gdy inna siostra zakonna „zdiagnozowała” u niej demona homoseksualizmu. Basię, w którą codziennie o godzinie 15 wstępuje Szatan, rodzina oblewa święconą wodą.

Reżyser towarzyszy bohaterkom (większość egzorcyzmowanych przez Kościół to kobiety) podczas przywodzących na myśl praktyki sadomasochistyczne rytuałów, często zaczynających się od przywiązania do krzesła i przechodzących w takie atrakcje jak wciskanie do ust świętych obrazków czy dźganie ciała krucyfiksem.

Szołajski, który sam o swoim filmie mówi, że jest raczej zarzutem wobec środowiska psychiatrycznego niż samego Kościoła, pozostaje bezstronnym obserwatorem. Komentarz leży po stronie ekspertów: księdza, psychologa, psychiatry, historyka religii. Ocena zyskującego na popularności fenomenu (w Polsce wydawany jest nawet miesięcznik „Egzorcysta”, na którego okładce możemy zobaczyć np. boksera Tomusza Adamka) to już zadanie dla widzów. Podobnie jak rozstrzygnięcie, czy Szatan faktycznie wyjątkowo upodobał sobie Polaków.

Filip Skowronek

Pokaz *Walki z szatanem* o 18:00 w Kinie pod Srebrną Gwiazdą.



Jesteś fanem pozdrowień
w cyfrowej wersji?
Zatrzymaj czas
i podziel się z bliskimi
swoją obecnością
na festiwalu

ZRÓB SOBIE FESTIWALOWEGO GIFA!
Odwiedź kawiarnię Black Red White i skorzystaj z naszej fotobudki!



Dwa
Brzezi



Kino, serial - dwa bratanki



Na festiwal Dwa Brzezi przyjeżdżają nie tylko kinomani, ale również amatorzy seriali telewizyjnych. Z tego powodu we współpracy ze stacją TVN zorganizowano panel dyskusyjny poświęcony dwóm światom, które tylko pozornie walczą o uwagę odbiorców.

Pozornie, bo jak podkreślano w czasie dyskusji, nie należy przeciwstawiać sobie kina i telewizji, które idealnie się dopełniają. Dowodem na to była prezentacja zarówno najnowszych seriali TVN-u, jak i wyprodukowanych przez stację kinowych hitów.

W spotkaniu prowadzonym przez Grażynę Torbicką udział wzięli aktorzy, m.in. Małgorzata Kożuchowska, Weronika Książkiewicz i Bartłomiej Świdorski, ale także producentki - Dorota Kościcka-Gacke i Dorota Chamczyk oraz szefowa TVN7, Małgorzata Jopek. Goście rozmawiali m.in. o różnicach jakościowych między serialami polskimi i amerykańskimi, podkreślając, że trudno przeprowadzić takie porównanie ze względu na odmienne budżety, jakimi dysponują producenci polscy i amerykańscy.

Ci ostatni mają dużo więcej czasu i pieniędzy, natomiast ważny jest fakt, że w Polsce mimo wszystko widzowie chętniej oglądają rodzime produkcje, dlatego warto skupić się na doskonaleniu serialowej formy.

Aktorzy chętnie dzielili się również informacjami na temat serialowych postaci, które odtwarzają w *Drugiej szansie* oraz *Na noże*, najnowszej produkcji stacji TVN.

Patrycja Mucha

Plebiscyt publiczności:

Wytrwałość - 4,51
Fukushima. Moja miłość - 4,32
Pożegnanie - 3,69
Mnich z morza - 3,66
Zud - 3,29

Dziadowski koncert dla Franka w Janowcu wspomogli:

Henryk Skoczek – rejs statkiem
Marcin Pisula – przewodnik
Ekipa promu przy Kamieniołomach
Czerwone Eko-Busiki
Jasiek Ziółek, Kawiarnia Rynkowa
OSP KD

DZIĘKUJEMY!!!

Wszystkie filmy prezentowane na festiwalu DWA BRZEZI pochodzą z legalnych źródeł kultury

Sponsor Generalny

Sponsorzy

Oficjalny Partner Festiwalu



Oficjalny Hotel Festiwalu

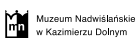
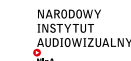
Oficjalny Samochód Festiwalu

Organizatorzy



Partnerzy

Partnerzy technologiczni



Patronat Medialny



Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego
 Województwo Lubelskie wspiera Festiwal Filmu i Sztuki Dwa Brzezi

GŁOS DWUBRZEŻA został wydrukowany na urządzeniu Ricoh MP C3003